

A hand reaches out from a grave in a dark, fiery landscape. The hand is pale and appears to be made of a different material, possibly stone or a different type of skin. The background is a mix of dark, smoky colors and bright, fiery orange and red. In the distance, a cross and other grave markers are visible in a misty, dark area. The overall atmosphere is one of horror and mystery.

STEPHEN
KING
MROCZNA POŁOWA

Życie ludzi — życie prawdziwe w odróżnieniu od zwykłej fizycznej egzystencji — zaczyna się w różnych momentach. Prawdziwe życie Thada Beaumonta, chłopaka, który urodził się i wychował w okolicach Ridgeway w Bergenfield w stanie New Jersey, zaczęło się w 1960 roku. Wtedy przydarzyły mu się dwie rzeczy. Pierwsza nadała kształt jego życiu, druga omal go nie zakończyła. Thad Beaumont był wówczas jedenastolatkiem.

W styczniu zgłosił nowelę na konkurs pisarski wspierany przez „American Teen”. W czerwcu dostał od redaktorów magazynu list z informacją, że zdobył wyróżnienie w kategorii Beletrystyka. W dalszej części listu stwierdzono, że jurorzy przyznaliby mu drugą nagrodę, gdyby z jego zgłoszenia nie wynikało, iż do wieku, w którym zostanie prawdziwym „amerykańskim nastolatkiem”, brakuje mu jeszcze dwóch lat. Redaktorzy napisali, że mimo to jego nowela zatytułowana *Za progiem domu Marty’ego* jest dziełem niezwykle dojrzałym i należą mu się gratulacje.

Dwa tygodnie później z redakcji „American Teen” przyszedł dyplom uznania. Listem poleconym wartościowym. Widniało na nim jego nazwisko zapisane literami zdobionymi w tak wymyślne staroangielskie esy-floresy, że z trudem je odczytał, oraz złota pieczęć u dołu z wytłoczonym logo czasopisma —

sylwetkami ostrzyżonego na jeża chłopaka i dziewczyny z końskim ogonem tańczących jitterbuga.

Matka wzięła w ramiona Thada, cichego, poważnego chłopca, któremu wszystko leciało z rąk i który często potykał się o własne stopy, i obsypała go pocałunkami.

Na ojcu nie zrobiło to żadnego wrażenia.

— Skoro to było tak cholernie dobre, czemu nie dali mu forszy? — mruknął ze swojego głębokiego fotela.

— Glen...

— Nieważne. Może gdy już skończysz go obściskiwac, nasz Ernest Hemingway przyniesie mi piwo.

Matka Thada nie powiedziała nic więcej, ale kazała oprawić pierwszy list oraz dyplom, który przyszedł po nim, płacąc za to z pieniędzy na drobne wydatki, i powiesiła je w jego pokoju nad łóżkiem. Gdy przychodzili do nich krewni lub inni goście, prowadziła ich tam, żeby sobie obejrzel. Mówiła im, że pewnego dnia Thad zostanie wielkim pisarzem. Zawsze czuła, że wielkość jest mu przeznaczona, i oto pojawił się pierwszy dowód. Thad był tym zażenowany, lecz za bardzo kochał matkę, by to powiedzieć.

Zażenowany czy nie, Thad uznał, że jego matka ma przynajmniej po części rację. Nie wiedział, czy ma zadatki na wielkiego pisarza, ale w każdym razie pisarzem zamierzał zostać. Czemu nie? Był w tym dobry, a co ważniejsze, gdy dobierał właściwe słowa, czuł wielką frajdę. A przecież nie mogli pozbawiać go nagród pieniężnych ze względów formalnych w nieskończoność. Kiedyś przestanie mieć jedenaście lat.

Druga ważna rzecz przydarzyła mu się w sierpniu 1960 roku. Wtedy właśnie zaczął mieć bóle głowy. Z początku nie były silne, ale gdy we wrześniu szkoła znowu otworzyła podwoje, łagodne utajone bóle w skroniach i przy czole przerodziły się w potworne, długie i wyczerpujące katusze. Gdy go chwytały, mógł tylko leżeć w przyściemnionym pokoju i czekać na śmierć. Pod koniec września miał nadzieję, że umrze. A w połowie

października ból wzmógł się do tego stopnia, że Thad zaczął się bać, iż do tego nie dojdzie.

Nadejście tych okropnych bólów zwykle sygnalizował urojony dźwięk słyszalny tylko dla niego, przypominający odległy pisk tysięcy małych ptaków. Czasem wydawało mu się, że widzi te ptaki — myślał, że to wróble — jak dziesiątkami obsiadają druty telefoniczne i dachy domów, tak jak czyniły wiosną i jesienią.

Matka zaprowadziła go do doktora Sewarda.

Doktor Seward zbadał mu dno oczu za pomocą oftalmoskopu i pokręcił głową. Potem, zaciągając zasłony i wyłączając górne światło, kazał Thadowi popatrzeć na białą ścianę w gabinecie. Szybko zapalając i gasząc na przemian latarkę, rzucał na nią jaskrawy krąg światła.

— Czy to sprawia, że dziwnie się czujesz, chłopcze?

Thad pokręcił głową.

— Nie kręci ci się w głowie? Jakbyś miał zaraz zemdleć?

Thad znowu zaprzeczył ruchem głowy.

— Czujesz coś? Na przykład woń zgniłych owoców lub płonących szmat?

— Nie.

— A twoje ptaki? Słyszałeś je, gdy patrzyłeś na błyski światła?

— Nie — odparł Thad zdziwiony.

— To nerwy — rzekł później ojciec Thada, gdy chłopak został odesłany do poczekalni. — Ten cholerny dzieciak jest kłębkim nerwów.

— Myślę, że to migrena — wyjaśnił doktor Seward. — Niezwykła u tak młodej osoby, ale spotykana. A on wydaje się bardzo... uczuciowy.

— Bo taki jest — odparła Shayla Beaumont nie bez aprobaty.

— Cóż, kiedyś może znajdzie się jakieś lekarstwo. Na razie, niestety, będzie musiał po prostu jakoś to przecierpieć.

— Taak, a my razem z nim — zauważył Glen Beaumont.
Nie były to jednak nerwy ani migrena, nie były to również jedyne dolegliwości.

Cztery dni przed Halloween Shayla Beaumont usłyszała wrzask jednego z chłopaków, z którymi Thad codziennie czekał na szkolny autobus. Wyjrzała przez okno w kuchni i zobaczyła swojego syna skręcającego się w konwulsjach na podjeździe. Pojemnik z drugim śniadaniem leżał obok, zapakowane do niego owoce i kanapki wysypały się na gorącą nawierzchnię podjazdu. Wybiegła przed dom, przepłoszyła pozostałe dzieci, po czym stała bezradnie nad Thadem, bojąc się go dotknąć.

Gdyby duży żółty autobus z panem Reedem za kierownicą podjechał tam trochę później, Thad mógłby umrzeć u stóp podjazdu. Ale pan Reed był w Korei sanitariuszem. Zdołał odchylić głowę chłopca i udrożyć mu drogi oddechowe, nim Thad zadławił się na śmierć własnym językiem. Karetka zabrała go do szpitala okręgowego w Bergenfield i gdy chłopca wieziono na wózku, doktor Hugh Pritchard akurat przez przypadek znajdował się w izbie przyjęć. Popijał kawę i wymieniał się golfowymi kłamstwami z jakimś przyjacielem. Hugh Pritchard przypadkiem był też najlepszym neurologiem w stanie New Jersey.

Lekarz zaordynował prześwietlenie i obejrzał zdjęcie. Pokazał je potem Beaumontom, prosząc, by przyjrzeni się ze szczególną uwagą niewyraźnemu cieniowi, który zakreślił żółtą kredką świecową.

— To — rzekł. — Co to takiego?

— Skąd, u licha, mamy wiedzieć? — odparł Glen Beaumont. — To pan jest lekarzem.

— Zgadza się — stwierdził oschle Pritchard.

— Żona mówiła, że rzucał się jak wściekły — dodał Glen.

— Jeżeli sądzicie, że miał atak, to owszem, miał — rzekł doktor Pritchard. — Jeżeli myślicie, że był to atak epilepsji, to jestem prawie pewien, że nie. Tak poważny atak z pewnością byłby silnym napadem padaczkowym, a Thad nie wykazał

żadnej reakcji w teście świetlnym Littona. Tak naprawdę, gdyby cierpiał na silną epilepsję, nie potrzebowaliby państwo lekarza, żeby to stwierdzić. Ilekroć na ekranie waszego telewizora pojawiałyby się pasy, Thad rzucałby się na dywan w salonie.

— W takim razie co mu dolega? — zapytała nieśmiało Shayla.

Pritchard odwrócił się ku kliszy umieszczonej na podświetlonej ramie.

— Co mu dolega? — powtórzył i znowu postukał w zakreślony obszar mózgu. — Nagłe pojawienie się bólów głowy w zestawieniu z brakiem uprzednich ataków sugeruje, że państwa syn ma guza mózgu, przypuszczalnie małego i, miejmy nadzieję, łagodnego.

Glen Beaumont gapił się na lekarza z kamiennym wyrazem twarzy, podczas gdy jego żona stała obok niego i ocierała łzy chusteczką. Płakała bezgłośnie. Ten cichy płacz był wynikiem wielu lat małżeńskiej tresury. Uderzenia pięści Glena były szybkie i bolesne i prawie nigdy nie zostawiały śladów, a po dwunastu latach cichego smutku Shayla przypuszczalnie nie potrafiłaby głośno płakać, nawet gdyby chciała.

— Czy to znaczy, że chce mu pan pociąć mózg? — zapytał Glen z typowym dla siebie taktem i delikatnością.

— Tak bym tego nie ujął, panie Beaumont, ale sądzę, że zabieg eksploracyjny trzeba wykonać — odparł lekarz i pomyślał: Jeśli Bóg naprawdę istnieje i jeśli naprawdę stworzył nas na swój obraz i podobieństwo, to nie chcę się zastanawiać, dlaczego tak cholernie dużo ludzi tego pokroju chodzi po świecie i decyduje o losie tylu innych osób.

Glen milczał przez długi czas z pochyloną głową i czołem zmarszczonym w zadumie. W końcu uniósł głowę i zadał pytanie, które najbardziej go prześladowało:

— Niech pan mi powie prawdę, doktorze: ile to wszystko będzie kosztowało?

Pierwsza zobaczyła je instrumentariuszka.

Jej przeraźliwy okrzyk był czymś szokującym w sali operacyj-

nej, gdzie przez ostatnie piętnaście minut słychać było jedynie wypowiedane półgłosem polecenia doktora Pritcharda, szum masywnego respiratora i krótkotrwały świst piły chirurgicznej.

Pielęgniarka cofnęła się chwiejnie, straciła ze stolika chirurgicznego na kółkach tacę, na której równo ułożono dwa tuziny instrumentów. Taca spadła na wykafelkowaną podłogę z głośnym szczękiem, a po nim rozległo się wiele cichszych brzęków.

— Hilary! — krzyknęła siostra przełożona.

Jej głos był pełen zaskoczenia. W szoku zapomniała się do tego stopnia, że aż zrobiła pół kroku w kierunku uciekającej kobiety w trzepoczącym zielonym fartuchu.

Doktor Albertson, który asystował przy operacji, kopnął ją w łydkę obutą w pantofel stopą.

— Pamiętaj, proszę, gdzie jesteś.

— Dobrze, panie doktorze.

Odwróciła się natychmiast, nie patrząc nawet w stronę drzwi sali operacyjnej, gdy te otworzyły się z hukiem, a podekscytowana Hilary opuściła scenę, wciąż wyjąc niczym pędzący wóz strażacki.

— Włóż sprzęt do sterylizatora — polecił Albertson. — Natychmiast. Migiem!

— Dobrze, panie doktorze.

Dysząc ciężko, wyraźnie podenerwowana, lecz panując nad sobą, zaczęła zbierać instrumenty.

Wydawało się, że doktor Pritchard w ogóle tego nie zauważył. Spoglądał z wyteżoną uwagą w okienko, które zostało wycięte w czaszce małego Thada.

— Niewiarygodne — wymamrotał. — Po prostu niewiarygodne. To naprawdę nadaje się do książek. Gdybym nie widział tego na własne oczy...

Ocknął się chyba, słysząc szum sterylizatora, spojrzął na doktora Albertsona i rzekł ostro:

— Ssanie!

Zerknął na pielęgniarkę.

— A co ty robisz, do kurwy nędzy? Rozwiązujesz krzyżówkę z niedzielnego „Timesa”? Rusz tyłek i przyniesź narzędzia!

Podeszła z instrumentami na nowej tacy.

— Lester, daj mi aspirator — rzekł Pritchard do Albertsona. — Natychmiast. Potem pokażę ci coś, co widywałeś dotąd tylko w jarmarcznych gabinetach osobliwości.

Albertson przetoczył pompę ssącą, nie zważając na siostrę przełożoną, która uskokzyła z drogi, balansując zręcznie tacą z instrumentami.

Pritchard spoglądał na anestezjologa.

— Utrzymuj odpowiednie ciśnienie, przyjacielu. O nic więcej nie proszę.

— Ma sto pięć na sześćdziesiąt osiem, doktorze. Niewzruszone jak skała.

— Cóż, jego matka twierdzi, że leży przed nami nowy William Szekspir, więc utrzymuj je na tym poziomie. Odessij krew, Lester... tylko nie łaskocz go tym cholernym ssakiem.

Albertson usunął krew aspiratorem. Sprzęt monitorujący pikał miarowo, monotonnie i pokrępiająco na drugim planie. Potem lekarz wciągał jedynie własny oddech. Czuł się tak, jakby ktoś zadał mu cios pięścią w spłot słoneczny.

— O mój Boże. Chryste, Chryste Panie. — Cofnął się na moment, po czym pochylił się bliżej. Jego błyszczące oczy widoczne nad maską i za szklami okularów w rogowych oprawkach zrobiły się okrągłe z nagłego zaciekawienia. — Co to jest?

— Myślę, że widzisz, co to jest — odparł Pritchard. — Tyle że oswajasz się z tym dopiero po chwili. Czytałem już o tym, ale nie spodziewałem się, że naprawdę to kiedyś zobaczę.

Mózg Thada Beaumonta miał kolor zewnętrznej krawędzi muszli — szary z nieznaczną domieszką różu.

Z gładkiej powierzchni opony twardej wystawało ślepe i zniekształcone oko ludzkie. Mózg lekko pulsował. Wraz z nim pulsowało oko. Można było odnieść wrażenie, że próbuje do

nich mrugnąć. I właśnie to wrażenie zmusiło instrumentariuszkę do ucieczki z sali operacyjnej.

— Chryste Panie, co to jest? — znowu zapytał Albertson.

— Nic — odparł Pritchard. — Kiedyś mogło być organem żywej, oddychającej istoty ludzkiej. Teraz jest niczym. Poza tym, że źródłem kłopotu. Tak się jednak składa, że możemy sobie z nim poradzić.

Doktor Loring, anestezjolog, zapytał:

— Mogę zerknąć, doktorze Pritchard?

— Pacjent nadal stabilny?

— Tak.

— W takim razie proszę. Będzie o czym opowiadać wnukom. Ale niech pan się pośpieszy.

Podczas gdy Loring przyglądał się oku, Pritchard zwrócił się do Albertsona:

— Potrzebuję piły. Otworzę go trochę szerzej. Wtedy je zbadam. Nie wiem, czy uda mi się wydobyć je w całości. Ale mam taki zamiar.

Les Albertson, pełniący teraz funkcję siostry przełożonej, wcisnął świeżo wysterylizowany zgłębnik w dłoń chirurga, gdy ten go zażądał. Pritchard, który nucił pod nosem temat przewodni z *Bonanzy*, pracował szybko i niemal bez wysiłku, tylko sporadycznie zerkając w lusterko zamontowane na końcu zgłębnika. Pracował głównie na dotyk. Albertson powiedział później, że nigdy w życiu nie był świadkiem tak porywającego, instynktownego zabiegu operacyjnego.

Oprócz oka znaleźli część nozdrza, trzy paznokcie i dwa zęby. W jednym z zębów był mały ubytek. Oko pulsowało i próbowało mrugnąć aż do chwili, gdy Pritchard przy użyciu cienkiego jak igła skalpela najpierw je nakłuł, a potem wyciął. Cała operacja od wstępnego badania do wycięcia trwała tylko dwadzieścia siedem minut. Pięć kawałków tkanki spadło z plaśnięciem do nierdzewnej stalowej miski na tacy ustawionej przy ogolonej głowie Thada.

— Myślę, że mamy jasność — rzekł w końcu Pritchard. —

Wydaje się, że cała obca tkanka była połączona szczątkowymi zwojami nerwowymi. Nawet jeżeli są jeszcze inne kawałki, to najprawdopodobniej je uśmierciliśmy.

— Ale... jak to możliwe, skoro chłopak żyje? Przecież to wszystko stanowiło część jego organizmu, prawda? — zapytał zdumiony Loring.

Pritchard wskazał na tacę.

— Znajdujemy w jego głowie oko, zęby i pęczek paznokci, a ty myślisz, że to stanowiło część jego organizmu? Czyżbyś zauważył u niego brak paznokci? Chcesz sprawdzić?

— Ale nawet rak jest tylko częścią własnego...

— To nie był rak — wyjaśniał cierpliwie Pritchard, a jego ręce w tym czasie robiły swoje. — Często tak bywa, że rodzi się jedno dziecko, choć w rzeczywistości rozpoczęło ono swoje życie jako bliźnię, przyjacielu. Może się to zdarzać aż w dwóch przypadkach na dziesięć. Co się dzieje z drugim płodem? Silniejszy wchłania słabszy.

— Wchłania? Chce pan powiedzieć: zjada? — zdziwił się Loring, który trochę pozieleniał na twarzy. — Czy mówimy tutaj o kanibalizmie *in utero*?

— Nazywaj to, jak chcesz; to dość częsta sytuacja. Jeżeli kiedyś powstanie sonograf, o którym stale się mówi na konferencjach medycznych, może rzeczywiście dowiemy się, jak częsta. Ale bez względu na jej częstotliwość to, co ujrzeliśmy dzisiaj, zdarza się o wiele rzadziej. Część jednego z tych bliźniąt nie została wchłonięta i przypadkiem trafiła do płata przedczołowego. Równie dobrze mogła wylądować w jelitach, śledzionie, rdzeniu kręgowym, gdziekolwiek. Zwykle coś takiego oglądają wyłącznie patolodzy... wychodzi to na jaw podczas sekcji zwłok... i nigdy nie słyszałem, żeby obca tkanka była przyczyną zgonu.

— No to co stało się tutaj? — zapytał Albertson.

— Coś ponownie uruchomiło rozwój tej tkanki, która rok temu przypuszczalnie miała submikroskopowe rozmiary. Zegar wzrostu wchłoniętego bliźnięcia powinien był się na zawsze

zatrzymać co najmniej miesiąc przed porodem, ale znowu jakoś został nakręcony... i to cholerstwo rzeczywiście zaczęło rosnąć. W tym, co się stało, nie ma żadnej tajemnicy; samo ciśnienie śródczaszkowe wystarczyło, by chłopak miał bóle głowy i dostał konwulsji, po których trafił tutaj.

— Rozumiem — odparł cicho Loring — ale dlaczego to się stało?

Pritchard pokręcił głową.

— Jeżeli za lat trzydzieści wciąż będę się zajmował czymś trudniejszym od gry w golfa, możesz mnie o to zapytać. Pewnie będę znał odpowiedź. Teraz wiem tylko, że zlokalizowałem i wyciąłem bardzo szczególny i bardzo rzadki typ guza. Łagodnego guza. I o ile nie nastąpią żadne powikłania, sądzę, że rodzice chłopaka nie muszą wiedzieć nic więcej. Przy jego ojcu nawet troglodyta wyglądałby na intelektualistę. Nie wyobrażam sobie, bym mógł mu wytłumaczyć, że zrobiłem skrobankę jego jedenastoletniemu synowi. Les, zaszyjmy go — zaproponował, po czym jakby po namyśle zwrócił się uprzejmym głosem do pielęgniarki: — Ta głupia cipa, która stąd związała, ma zostać zwolniona. Proszę to sobie zapisać.

— Dobrze, doktorze.

Thad Beaumont opuścił szpital dziesięć dni po operacji. Przez prawie sześć następných miesięcy lewa strona jego ciała była niepokojąco słaba, a od czasu do czasu, gdy czuł się bardzo zmęczony, widział przed oczami dziwne, niezupełnie chaotyczne wzory ze świetlistych błysków.

Matka kupiła mu w prezencie starego remingtona 32 i te błyski światła najczęściej pojawiały się, gdy zgarbiony siedział nad maszyną przed snem, usiłując wyrazić coś we właściwy sposób lub wymyślić, co powinno się teraz wydarzyć w jego opowieści. W końcu one także minęły.

Ów dziwny, urojony odgłos ćwierkania — odgłos dywizjonów lecących wróble — w ogóle nie powrócił po operacji.

Thad nadal pisał, zyskując pewność siebie i czelując rodzący się własny styl. Swoje pierwsze opowiadanie sprzedał „American Teen” sześć lat po tym, jak zaczęło się jego prawdziwe życie. Później po prostu nigdy nie wracał myślami do przeszłości.

Z tego, co wiedzieli rodzice Thada i on sam, jesienią jedenastego roku jego życia z płąta przedczołowego mózgu usunięto mu łagodnego guza. Gdy Thad w ogóle o tym myślał (co z biegiem lat zdarzało się coraz rzadziej), dochodził jedynie do wniosku, że miał niezmiernie dużo szczęścia, że przeżył.

Wielu pacjentów, którzy przeszli w tych prymitywnych czasach operację mózgu, nie przeżyło.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

LUDZIE BĘDĄ GADAĆ

1

Wydanie magazynu „People” z dwudziestego trzeciego maja było całkiem zwyczajne.

Okładkę zdobiło zdjęcie Martwego Celebryty tygodnia, gwiazdora rock and rolla, który powiesił się w więziennej celi po tym, jak aresztowano go za posiadanie kokainy i rozmaitych pokrewnych jej narkotyków. Wewnątrz numeru znajdował się tradycyjny bogaty zestaw tematów: dziewięć niewyjaśnionych morderstw na tle seksualnym w opustoszałej zachodniej części Nebraski; guru zdrowego odżywiania, którego przymknięto za dziecięcą pornografię; gospodyni domowa z Marylandu, która wyhodowała kabaczek przypominający nieco popiersie Jezusa Chrystusa — o ile patrzyło się nań spod półprzymkniętych powiek w ciemnym pokoju; dzielna niepełnosprawna dziewczyna trenująca do nowojorskiego maratonu rowerowego; rozwód w Hollywood; małżeństwo członków nowojorskiej socjety; zapaśnik dochodzący do zdrowia po ataku serca; komik broniący się przed sądownym pozwem o alimenty.

Był tam również artykuł o przedsiębiorcy z Utah, który wprowadzał na rynek nową lalkę o nazwie Yo Mamma! Wyglądała rzekomo jak „teściowa, za którą wszyscy przepadają (?)”. Miała wmontowany magnetofon, który wyrzucał z siebie fragmenty dialogu, takie jak: „W moim domu, gdy dorastał, kolacja

nigdy nie była zimna, moja droga” i „Twój brat nigdy nie zachowuje się tak, jakbym miała nieświeży oddech, gdy przyjeżdżam na parę tygodni”. Prawdziwym skandalem było to, że aby zmusić ją do mówienia, zamiast ciągnąć za sznurek na plecach lalki, kopało się pieprzoną babę z całej siły. „Yo Mamma! jest porządnie wywatowana, na pewno nie pęknie ani nie wyszczerbi ścian i mebli” — powiedział dumny wynalazca, pan Gaspard Wilmot (który, o czym wspomniano mimochodem, został kiedyś oskarżony o uchylanie się od płacenia podatku dochodowego — zarzuty wycofano).

Na stronie trzydziestej trzeciej tego zabawnego i pouczającego numeru najbardziej zabawnego i pouczającego amerykańskiego tygodnika znajdował się typowy dla „People” cięty, trafny i zjadliwy nagłówek: BIOGRAM.

— „People” — powiedział Thad do swojej żony Liz, gdy siedzieli ramię w ramię przy kuchennym stole, czytając powtórnie artykuł — lubi dochodzić do sedna sprawy. BIOGRAM. Jeżeli nie interesuje cię BIOGRAM, przejdź do W TARAPATACH i poczytaj o dziewczynach, które upijają się do nieprzytomności w samym sercu Nebraski.

— Gdy się nad tym porządnie zastanowić, nie jest to zbyt zabawne — odparła Liz Beaumont, po czym zepsuła efekt swojej wypowiedzi, parszkając śmiechem w zaciśniętą dłoń.

— Nie do śmiechu, ale z pewnością osobliwe — zauważył Thad i zaczął znowu kartkować artykuł. Robiąc to, w roztargnieniu pocierał małą białą bliznę na czole.

Jak w większości numerów „People”, tak i w tym dział BIOGRAMÓW był jedynym, gdzie więcej powierzchni przeznaczono na tekst niż na zdjęcia.

— Żałujesz, że to zrobiłeś? — zapytała Liz.

Nasłuchiwała odgłosów bliźniąt, ale na razie spisywały się na medal, śpiąc jak susły.

— Po pierwsze — odparł Thad — sam tego nie zrobiłem. Zrobiliśmy to wspólnie. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, pamiętasz?

Postukał palcem w zdjęcie na drugiej stronie artykułu. Ukazywało ono jego żonę podającą blachę ciastek czekoladowych z orzechami Thadowi, który siedział przy maszynie do pisania. Jeżeli na kartce pod wałkiem w ogóle było coś napisane, to nie dało się tego stwierdzić. Może i dobrze, bo pewnie był to jakiś bełkot. Pisanie zawsze stanowiło dla niego ciężką pracę i nie było rzeczą, którą mógł robić na oczach czytelników, szczególnie gdy jeden z nich przypadkiem był fotografem magazynu „People”. O wiele łatwiej przychodziło to George’owi, ale dla Thada Beaumonta było cholernie trudne. Gdy próbował pisać — czasem z powodzeniem — Liz nie zbliżała się do niego. Nie przynosiła mu telegramów, a tym bardziej czekoladowych ciastek.

— Tak, ale...

— Po drugie...

Spojrzał na zdjęcie, na którym Liz stała z ciastkami, a on patrzył na nią. Oboje uśmiechali się szeroko. Te uśmiechy wyglądały dość osobliwie na twarzach ludzi, którzy choć sympatyczni, ostrożnie dawkowali rzeczy tak pospolite jak uśmiech. Wrócił pamięcią do czasów, gdy pełnił funkcję przewodnika na Szlaku Appalachów w Maine, w stanie New Hampshire, i Vermoncie. W tamtych niewesołych czasach miał w domu szopa pracza, Johna Wesleya Hardinga. Nie żeby jakoś próbował go oswoić; szop po prostu przyłączył się do niego. Stary J.W., podobnie jak Thad, lubił sobie łyknąć w zimny wieczór, a czasem, gdy dostał nieco więcej z butelki, uśmiechał się właśnie tak.

— Po drugie co?

Po drugie, w tym, że pisarz nominowany kiedyś do National Book Award i jego żona szczerzą do siebie zęby w uśmiechu niczym para pijanych szopów, jest coś zabawnego, pomyślał i ryknął śmiechem, którego nie był w stanie już dłużej powstrzymać.

— Obudzisz bliźnięta!

Thad bez powodzenia usiłował stłumić salwy śmiechu.

— Po drugie, wyglądamy jak para idiotów i ani trochę mi

to nie przeszkadza — odparł, przytulił ją mocno i pocałował w szyję.

W drugim pokoju rozległ się najpierw płacz Williama, a potem Wendy.

Liz próbowała spojrzeć na męża z wyrzutem, ale nie potrafiła. Tak miło było słyszeć, jak się śmieje. Chyba dlatego, że robił to zbyt rzadko. Dźwięk jego śmiechu miał dla niej niezmierny, egzotyczny urok. Thad Beaumont nigdy się nie zaliczał do wesołków.

— To moja wina — rzekł. — Przyniosę je.

Zaczął się podnosić, trącił stół i omal go nie wywrócił. Był człowiekiem delikatnym, lecz dziwnie niezadarnym; wciąż miał w sobie tę chłopięcą cechę.

Liz chwyciła dzban z kwiatami, którym udekorowany był stół, tuż przedtem, zanim zdążył się zsunąć i roztrzaskać na podłodze.

— No nie, Thad! — zawołała, ale potem też zaczęła się śmiać.

Usiadł na chwilę z powrotem i nie tyle wziął Liz za rękę, ile pieścił delikatnie jej dłoń w swoich dłoniach.

— Słuchaj, ślicznotko, przeszkadza ci to?

— Nie — odparła.

Przez moment miała zamiar powiedzieć: „Ale mnie to niepokoi. Nie dlatego, że mamy trochę głupie miny, ale... cóż, nie wiem dlaczego. Po prostu mnie trochę niepokoi, i już”.

Miała zamiar, ale nie powiedziała tego. Ścisnęła go za rękę.

— Nie — powtórzyła. — Nie przeszkadza. Myślę, że to niezła zabawa. A jeżeli ta reklama pomoże *Złotemu psu*, gdy wreszcie poważnie zajmiesz się dokończeniem tej cholerniej książki, to tym lepiej.

Wstała, wciskając go w krzesło, gdy próbował do niej dołączyć.

— Możesz je przynieść następnym razem — powiedziała. — Chcę, żebyś tu siedział, dopóki nie minie twe podświadome pragnienie stłuczenia mojego wazonu.

— W porządku — odparł i się uśmiechnął. — Kocham cię, Liz.

— Ja też cię kocham.

Poszła po bliźnięta, a Thad Beaumont zaczął znowu kartkować swój BIOGRAM.

W odróżnieniu od większości artykułów w tygodniku „People” krótka biografia Thaddeusa Beaumonta nie zaczynała się od całostronicowej fotografii, lecz od zdjęcia, które zajmowało niespełna ćwierć strony. Mimo to przyciągało wzrok, ponieważ jakiś grafik mający doskonale wyczucie niezwykłości umieścił zdjęcie, które ukazywało Thada i Liz na cmentarzu, w czarnej obwódce. Wiersze druku poniżej w zestawieniu z fotografią odznaczały się prawie brutalnym kontrastem.

Na zdjęciu Thad trzymał szpadel, a Liz kilof. Z boku stały taczki z kolejnymi cmentarnymi narzędziami. Na samym grobie ułożono kilka bukietów kwiatów, ale napis na płycie nagrobnej był nadal doskonale czytelny.

GEORGE STARK

1975—1988

Niezbyt sympatyczny facet

W niemal rażącym kontraście z miejscem i pozornym aktem (niedawno dokonany pochówek kogoś, kto sądząc z dat, powinien być nastolatkiem) tych dwoje fałszywych kościelnych wymieniało uścisk dłoni nad świeżo ułożoną darnią i śmiało się radośnie.

Była to oczywiście scena upozowana. Wszystkie zdjęcia ilustrujące artykuł — grzebanie ciała, pokazywanie ciastek oraz to z Thadem wędrującym samotnie jak chmura opustoszałą drogą w lasach Ludlow, przypuszczalnie „szukającym pomysłów” — zostały upozowane. Było to zabawne. Liz kupowała „People” w supermarkecie przez ostatnich pięć lat i oboje naśmiewali się z magazynu, ale oboje kolejno przeglądali go przy kolacji bądź w toalecie, jeżeli nie mieli pod ręką dobrej książki. Thad rozmyślał czasami o sukcesie czasopisma, zastanawiając się, czy tak niesamowitą popularność zawdzięcza ono poświęcaniu uwagi życiu celebrytów, czy po prostu sposo-

bowi, w jaki było składane, z tymi wielkimi czarno-białymi fotografiami i tłustym drukiem tekstów złożonych głównie z prostych zdań orzekających. Nigdy jednak nie przyszło mu na myśl, by się zastanawiać, czy te zdjęcia są inscenizowane.

Autorem fotografii była kobieta, Phyllis Myers, która poinformowała ich, że wcześniej zrobiła sporo zdjęć pluszowym misiom w dzieciennych trumnach, a wszystkie pluszaki były odziane w dziecięce ubranka. Miała nadzieję, że sprzeda je jako album dużemu nowojorskiemu wydawcy. Dopiero drugiego dnia wywiadu i sesji zdjęciowej Thad zdał sobie sprawę, że fotografka bada, czy napisałby do niego tekst. *Śmierć i pluszowe misie* — wyjaśniła — byłby „ostatecznym, doskonałym komentarzem do amerykańskiego sposobu umierania, nie sądzisz, Thad?”.

Uważał, że w świetle jej dość makabrycznych zainteresowań to, iż Myers zamówiła płytę nagrobną George’a Starka i przywiozła ją z Nowego Jorku, wcale nie jest zaskakujące. Płytę zrobiono z *papier mâché*.

— Nie macie chyba nic przeciwko temu, żeby uściśnąć sobie dłonie na jej tle? — zapytała ich z uśmiechem, który był równocześnie zalotny i pełen samozadowolenia. — Wyjdzie z tego wspaniałe ujęcie.

Liz krytycznie nastawiona do pomysłu i trochę nim przerażona spojrzała na Thada. Oboje popatrzyli z osłupieniem na imitację płyty nagrobnej, która przyjechała z Nowego Jorku (siedziby magazynu „People”) do Castle Rock w stanie Maine (letniego domu Thada i Liz Beaumontów). Wzrok Thada stale przyciągały słowa wyryte na płycie:

Niezbyt sympatyczny facet

Zasadniczo historia, którą „People” pragnął opowiedzieć czytelnikom śledzącym z zapartym tchem losy amerykańskich celebrytów, okazała się całkiem prosta. Thad Beaumont był uznanym pisarzem, którego pierwsza powieść *Niespodziewany taniec* uzyskała w 1972 roku nominację do National Book